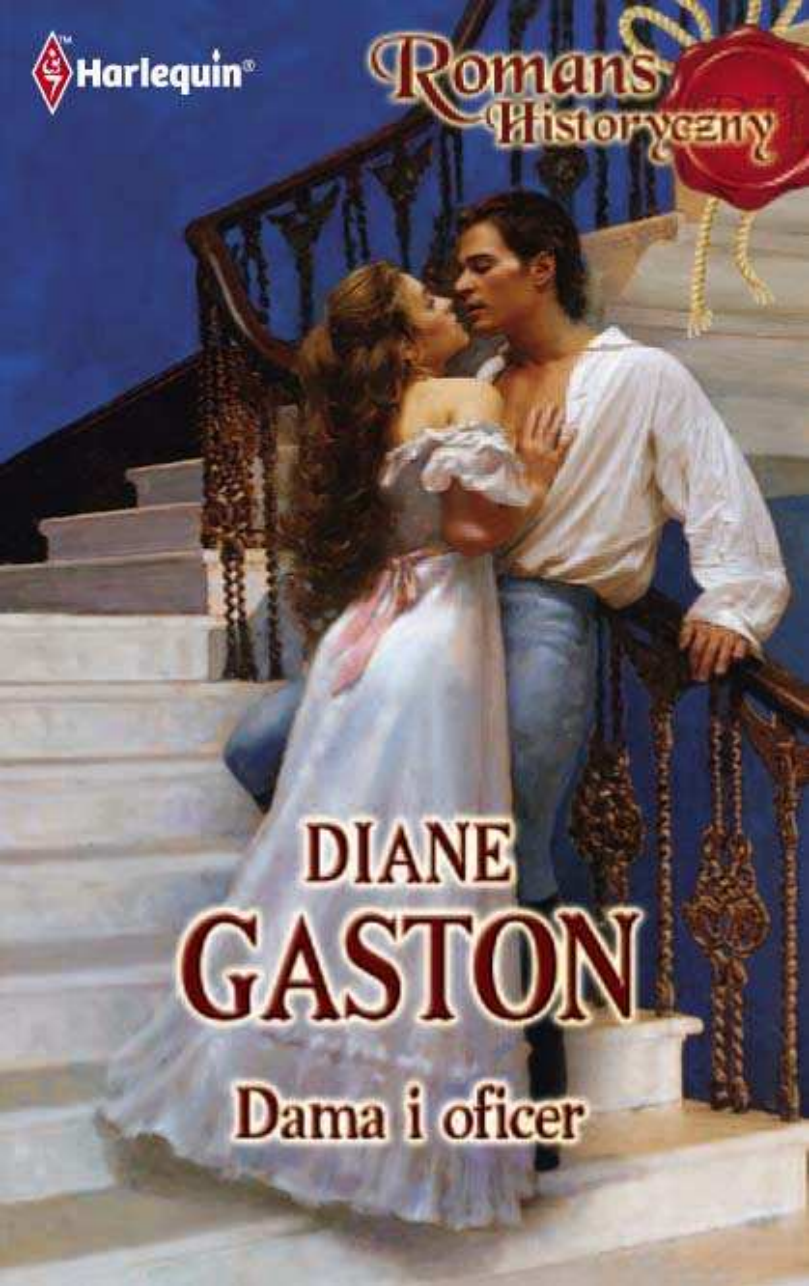




Harlequin®

Romans
HistoryCenry



DIANE
GASTON

Dama i oficer

Diane Gaston

Dama i oficer

Tłumaczyła
Bożena Kucharuk

Tytuł oryginału: Gallant Officer, Forbidden Lady

Pierwsze wydanie: Harlequin Historical Romance, 2009

Redaktor serii: Barbara Syczewska-Olszewska

Opracowanie redakcyjne: Barbara Syczewska-Olszewska

Korekta: Marianna Chałupczak

© 2009 by Diane Perkins

© for the Polish edition by Arlekin – Wydawnictwo Harlequin Enterprises sp. z o.o., Warszawa 2011

Wszystkie prawa zastrzeżone, łącznie z prawem reprodukcji części lub całości dzieła w jakiegokolwiek formie.

Wydanie niniejsze zostało opublikowane w porozumieniu z Harlequin Enterprises II B.V.

Wszystkie postacie w tej książce są fikcyjne.

Jakiegokolwiek podobieństwo do osób rzeczywistych – żywych lub umarłych – jest całkowicie przypadkowe.

Znak firmowy Wydawnictwa Harlequin i znak serii Harlequin Romans Historyczny są zastrzeżone.

Arlekin – Wydawnictwo Harlequin Enterprises sp. z o.o.
00-975 Warszawa, ul. Starościńska 1B lokal 24-25

Skład i łamanie: COMPTeXt®, Warszawa

ISBN 978-83-238-8137-7

ROMANS HISTORYCZNY – 325

Książkę dedykuję pamięci mojego ojca, pułkownika
Daniela J. Gastona

Prolog

Badajoz, Hiszpania – 1812 rok

W Badajoz rozpętało się piekło.

Pijani brytyjscy żołnierze wybiegli ze splądrowanych domostw, podpalając wszystko, co nawinęło im się pod rękę. Chodniki zaścielały ciała ofiar – francuskich żołnierzy i hiszpańskich cywilów; mężczyzn, kobiet i dzieci. Barwne hiszpańskie ubrania były czerwone od krwi. Syk ognia, krzyki kobiet, płacz dzieci dzwoniły Jackowi w uszach, lecz żaden z tych dźwięków nie był tak straszny jak rechot oszalałych mężczyzn, ogarniętych żądzą gwałtu i rabunku.

Wśród zwycięskich oddziałów rozeszła się pogłoska, że Wellington zezwolił na trzy godziny plądrowania miasta. Ta plotka stała się iskrą, która wznieciła płomień. Choć nie było w niej ziarnka prawdy, zapanował chaos i zaczęły się masowe rabunki, których po niedługim czasie nie sposób już było powstrzymać.

Po tym, jak Francuzi wycofali się do San Cristobal i przystąpiono do plądrowania, major postanowił spatrołować ulice. Jack Vernon i jego kompani mu towarzyszyli.

– Musimy powstrzymać grabieżę – uznał dowódca.

Rozszalali żołnierze natychmiast napadli na patrol Jacka. Jego towarzysze rozpierzchli się i uciekli w popłochu. Oddzielony od innych, Jack marzył już jedynie o znalezieniu

bezpiecznej kryjówki, by móc przeczekać rzeź. Biegł uliczkami, skręcając po drodze tyle razy, że nie wiedział, gdzie się znajduje i jak ma się wydostać z labiryntu. W końcu tupot goniących go nóg ustał. Jack zwolnił, obejrzał się za siebie i głęboko zaczerpnął tchu. Krył się pod ścianami starych budynków, mając nadzieję, że nie zdradzi go głośny oddech.

Przemykając pod murem, dotarł w końcu do niewielkiego podwórka. W świetle ognia z płonącego budynku dostrzegł brytyjskiego oficera szarpiącego się z kobietą. Jakiś chłopak usiłował oderwać ręce mężczyzny od jego ofiary, jednak drugi kompan odciągnął chłopca i rzucił go na leżące obok ciało. Żołdak głośno się roześmiał, jakby udało mu się właśnie zbić kręgiel.

Trzeci wojak uniósł chłopaka i wyciągnął nóż. Być może zamierzał poderżnąć wyrostkowi gardło. Jack wpadł na podwórze i wystrzelił w powietrze z pistoletu. Żołnierz puścił nóż, chłopca i wraz ze swym towarzyszem rzucił się do ucieczki, jednak mężczyzna napastujący kobietę nie zwrócił na to najmniejszej uwagi.

Manipulując przy rozporku, zarechotał.

– Ty też się zabaw. Starczy i dla ciebie. – Odwrócił się, pokazując twarz.

Jack dobrze go znał. Miał przed sobą porucznika Edwina Tranville’a, adiutanta generała brygady Lionela Tranville’a. Zaledwie w rok od śmierci ojca Jacka generał Lionel Tranville uczynił matkę Jacka swoją metresą. Jack miał wtedy zaledwie jedenaście lat.

Cofnął się w cień, zanim Edwin zdołał go rozpoznać. Dobrze wiedział, że Edwin jest tchórzem, znęcającym się jedynie nad słabszymi; jednak nie przypuszczał, że jest zdeprawowany aż do tego stopnia.

– Zostaw tę kobietę – rozkazał Jack.

– Nie ma mowy – odpowiedział bełkotliwie Edwin. Był bardzo pijany. – Za bardzo jej pragnę. Zasłużyłem sobie na

to. – Wycelował palec w stronę kobiety. – Nie próbuj ze mną walczyć, bo będę musiał cię zabić.

Jack zatknął pistolet za pas i wyciągnął szablę. Kobiecie udało się pchnąć Edwina tak, że się zatoczył; stała teraz pomiędzy Jackiem a napastnikiem. Rozpaczliwie wparłszy się w tors Edwina, popychała go, gdy tymczasem chłopak wskoczył mu na plecy. Edwin starał się strząsnąć z siebie wyrostka. Kopnął kobietę tak, że upadła, po czym ścisnął dzieciaka za gardło.

– *Non!* – krzyknęła przeraźliwie.

Jak tygrysica rzuciła się na Edwina, który się cofnął.

– Uspokój się! – zawołał, nie przestając się bezmyślnie uśmiechać. – Bo skrucę mu kark. – Zarechotał, jakby uznał te słowa za doskonały dowcip. – Zabiję go gołymi rękami.

– *Non!* – krzyknęła, ponownie rzucając się na Edwina. Potknął się, a tymczasem chłopakowi udało się wyrwać. Zatakowała Edwina nożem, rozcinając mu policzek od ucha aż po usta. Zawył i opadł na kolana. Przyłożył dłoń do krwawiącej twarzy.

– Zabiję cię za to!

Kobieta uniosła ramiona, by głęboko wbić nóż w plecy Edwina.

Niespodziewanie jakiś brytyjski oficer chwycił ją od tyłu.

– Nie rób tego, *señora* – przestrzegł i rozbroił ją bez trudu.

Dołączył do niego inny oficer. Byli to kapitan i porucznik, obaj w mundurach piechoty szkockiej, regimentu, którym dowodził niegdyś Tranville.

Edwin wskazał kobietę.

– Chciała mnie zabić! – Usiłował wstać, lecz się zatoczył i opadł na kocie łby. Zemdlął, wycieńczony bólem i nadmiarem alkoholu.

Kapitan zwrócił się do nieszczęsnej.

– Będzie musiała pani pójść z nami, *señora*.

Jack schował szablę do pochwy i postąpił kilka kroków.

– Chwileczkę!

Dwaj mężczyźni odwrócili się gwałtownie; porucznik wy-celowwał pistolet w pierś Jacka.

Jack uniósł ręce.

– Jestem podporucznik Vernon z Regimentu Wschodniego Esseksu. Ten oficer zamierzał zabić chłopca i zgwałcić kobietę. Byłem świadkiem tej sceny. Jego dwaj kompani uciekli.

– Jakiego chłopca? – spytał kapitan.

Z cienia wyłoniła się drobna sylwetka. Porucznik natychmiast zwrócił lufę pistoletu w tamtą stronę. Jack położył dłoń na ramieniu oficera.

– Nie strzelaj. To dziecko.

Kapitan, trzymając kobietę za ramię, podszedł do Edwina i obrócił go na plecy obutą nogą.

– Landon, widzisz, kto to jest?

– To syn generała Tranville’a – odpowiedział za niego Jack.

– Żartujesz? Co on tu robi? – zdziwił się porucznik.

Jack wskazał Edwina.

– Chciał udusić chłopca, a ta nieszczęsna broniła go nożem. Po policzku Edwina ciekła krew; wciąż był nieprzytomny.

– Jest pijany – dodał Jack.

Wyrostek podbiegł do ciała francuskiego żołnierza.

– *Papa!*

– *Non, Claude!* – zawołała kobieta, wrywając się kapitanowi.

– Cholera, to Francuzi. – Kapitan przyklęknął obok ciała i dotknął palcami szyi mężczyzny. – Nie żyje.

– *Mon mari* – powiedziała kobieta.

Kapitan wstał i podszedł do Edwina. Można było odnieść wrażenie, że zamierza go kopnąć, lecz w ostatniej chwili się powstrzymał. Edwin przewrócił się na brzuch i skulił się z jękiem.

Chłopak szarpał rękaw kurtki ojca.

– *Papa! Papa! Réveillez!*

– *Il est mort, Claude.* – Kobieta delikatnie odciągnęła syna od ciała zabitego.

Kapitan popatrzył na Jacka.

– Tranville go zabił?

– Nie widziałem.

– Do diabła. Co z nią teraz będzie? – Kapitan przeniósł wzrok na Francuzkę.

Dobiegły ich jakieś krzyki; kapitan wyprostował się.

– Musimy ich stąd wyprowadzić. – Machnął ręką w stronę porucznika. – Landon, zabierz Tranville’a do obozu. Podporuczniku, potrzebuję pańskiej pomocy. Chcę znaleźć dla tej nieszczęsnej bezpieczne miejsce. Może w kościele... albo gdzie indziej. – Popatrzył na porucznika i na Jacka. – Nikomu ani słowa na temat tego, co tu zaszło. Zrozumiano?

– Powinien za to zawisnąć na szubienicy – powiedział porucznik.

– Jest synem generała – zauważył kapitan. – Jeśli złożymy doniesienie, generał zwróci gniew przeciwko nam, a nie przeciw synowi. – Wskazał kobietę skinieniem głowy. – Mógłby nawet odszukać ją i chłopca. – Popatrzył na leżącego bez ruchu Edwina. – Ten sukinsyn jest tak pijany, że pewnie nawet nie wie, co zrobił.

– Pijaństwo nie jest żadną wymówką – rzekł porucznik. Po chwili zastanowienia kiwnął głową. – Dobrze. Nikomu nic nie powiemy.

Kapitan popatrzył na Jacka.

– Czy mam na to również i pańskie słowo, podporuczniku?

– Tak. – Jack wołał, żeby ani Tranville, ani Edwin nie dowiedzieli o jego obecności w tym miejscu.

Gdzieś w pobliżu rozległ się brzęk szkła. Dach płonącego budynku zawalił się, posyłając w niebo tysiące iskier.

– Musimy się pośpieszyć – rzekł kapitan. Wyciągnął dłoń do Jacka. – Jestem kapitan Deane. A to jest porucznik Landon.

Jack skłonił głowę.

– Czy jest tu gdzieś kościół? – zwrócił się Deane do kobiety i jej syna. Plasnął się dłonią w czoło. – Psiakrew, jak to powiedzieć po francusku? *Église*?

– *Non*, nie *église*, *capitaine* – odpowiedziała kobieta. – Mój... mój *maison* – mój dom. Chodźmy.

– Mówi pani po angielsku, madame?

– *Oui*, *un peu*... trochę.

Landon zarzucił sobie Edwina na ramię.

– Uważaj – ostrzegł go kapitan.

Porucznik szybko skinął głową, rozejrzał się dokoła i oddalił się w kierunku, z którego przyszli. Deane zwrócił się do Jacka.

– Chcę, żebyś poszedł ze mną. – Popatrzył na ciało Francuza. – Będziemy musieli go tu zostawić.

– Tak jest.

– Chodźmy.

Rzuciwszy ostatnie spojrzenie na ciało zmarłego męża, kobieta otoczyła ramieniem syna i dała znak, by oficerowie poszli za nią. Przeszli zaułkiem pod drzwiami domu przy wąskiej uliczce.

– Mój dom – powiedziała cicho.

Drzwi były uchylone. Kapitan dał znak, by zaczekali, a sam wszedł do środka. Po chwili wrócił.

– Nie ma nikogo.

Jack przestąpił próg. Dom został splądrowany; wszędzie wały się połamane meble, skorupy talerzy, porozrzucone papiery. Mieszkanie składało się jedynie z frontowego pokoju, kuchni i sypialni. Kapitan Deane przyciągnął znajdujący się w opłakanym stanie materac z sypialni do głównego pokoju i położył w kącie. Francuzka przyniosła z kuchni kubki z wodą. Chłopiec nie odstępował matki na krok, patrząc przed siebie szklanym wzrokiem.

Jack duszkiem wypił wodę.

– Zostaniesz na straży? – zapytał kapitan, zaspokoiwszy pragnienie. – Pośpię godzinkę, a potem cię zastąpię.

– Dobrze – odpowiedział Jack. Mógł pełnić straż choćby i całą noc. Był pewien, że nie zmruży oka. Zastanawiał się nawet, czy w ogóle kiedykolwiek będzie jeszcze w stanie zasnąć.

Zabarykowali drzwi zniszczonymi meblami. Jack znalazł niepołamane krzesło i usiadł na nim przy oknie. Kapitan dał znak kobiecie i jej synowi, by położyli się na materacu. Sam usiadł na podłodze i oparł się plecami o ścianę. Z zewnątrz wciąż dobiegały odgłosy rzezi, lecz nikt nie próbował wdrzeć się do środka. Jack patrzył przez okno na pozornie spokojną ulicę. Pomyślał, że do rana to szaleństwo zapewne ustanie i będzie mógł wrócić do obozu. Miał nadzieję, że major i pozostali uczestnicy jego patrolu żyją. Być może jeszcze przed końcem wojny ktoś przeszyje serce Edwina szpadą, wymierzając mu sprawiedliwość za udział w tej straszliwej masakrze.

Żałował pistolet i trzymał go w pogotowiu. W głowie roiło mu się od makabrycznych scen. Wyobrażenia podsuwała kolejne obrazy. Wyłaniały się w zakamarkach mózgu jeden za drugim, zmuszając Jacka do przeżywania od nowa koszmaru tego dnia. Czuł przemożną potrzebę uwiecznienia tych obrazów na kartce. Pragnął uzewnętrznić swe przeżycia, by zyskać odrobinę spokoju.

Niebo pojaśniało wraz z nastaniem świtu, a Jack wciąż słyszał pijackie krzyki, strzały z muszkietów, przerażone głosy ofiar. Kapitan Deane obudził się i podszedł do Jacka. Przystanął na chwilę, nasłuchując.

– To jeszcze nie koniec. – Potarł twarz. – Prześpij się trochę, podporuczniku. Zaczekamy. Miejmy nadzieję, że to się niedługo uspokoi.

Jack ustąpił miejsca kapitanowi. Spojrzał w kąt pokoju,

gdzie leżeli kobieta i jej syn. Chłopiec, skulony w kłębek, wyglądał jak małe dziecko. Francuzka nie spała. Jack rozejrzał się po pokoju i zaczął zbierać kartki papieru z podłogi. Przyjrzał się im. Niektóre stronicę były niezapisane.

– Będą pani potrzebne? – zapytał kobietę, unosząc plik papierów.

– *Non.*

Jack czuł się winny, że zabiera nieznajomej listy, jednak jego szkicownik został z ekwipunkiem w obozie. Nie spodziewał się, że aż tak dramatycznie będzie potrzebował papieru. Znalazł szeroką deskę i usiadł pod drugim oknem. Umieściwszy deskę na kolanach tak, że padało na nią światło, wyciągnął z kieszeni ołówek. Położył kartkę na desce i z ciężkim westchnieniem przystąpił do rysowania.

Sceny uwięzione w jego głowie spływały na papier. Nie nadążał za tym, co podsuwał mu umysł. Zapełnił już trzy kartki, a wciąż jeszcze nie czuł spełnienia; musiał narysować wszystko, co widział. Dopiero gdy uda mu się uchwycić najważniejsze wydarzenia, będzie od nich wolny. Być może nawet zaśnie.

Rozdział pierwszy

Londyn – czerwiec 1814 roku

Jack przemierzał sale wystawowe Royal Academy of Art, podziwiając bogactwo ekspozycji, mistrzostwo i piękno dzieł. Wciąż nie mógł uwierzyć, że naprawdę znajduje się w tym miejscu. Historyczne malowidła, pejzaże, alegorie, portrety wiszące obok siebie na ścianach wyglądały jak kawałki układanki, w której wciąż przybywa elementów, aż w końcu zostaje nimi wypełniona cała przestrzeń od podłogi aż do sufitu.

Rok temu jego regiment został odwołany do Anglii. Napoleon abdykował i armia nie potrzebowała już usług Jacka. Podobnie jak większość młodych oficerów, którym udało się przeżyć wojnę, został awansowany do stopnia porucznika, co wiązało się z podwyższeniem uposażenia. Jako że w czasie pokoju otrzymywał połowę poborów, dodatkowe pieniądze pozwoliły mu na realizację marzeń. Z pasją poświęcił się działalności artystycznej; rysował i malował, by zapomnieć o śmierci i zniszczeniach.

Po powrocie z wojny udał się prosto do Bath, do domu matki i siostry. W Bath mieszkał również jego mentor, sir Cecil Harper. Od dzieciństwa wspierał duchowo Jacka i doskonale rozumiał jego potrzebę tworzenia, a teraz ponownie stał się jego nauczycielem i opiekunem artystycznym. Na szczęście wojna nie odebrała Jackowi zapалу do rysowania

i malowania. Zachęcony przez sir Cecila, przedłożył swe obrazy Royal Academy of Art z myślą o letniej wystawie. Jakimś cudem przyjęto dwie z jego prac.

Wisały teraz na ścianach Somerset House, siedziby Royal Academy, obok dzieł Lawrence'a, Fuselego i Turnera, w sali wypełnionej widzami, którzy nie zdążyli jeszcze wyjechać z miasta na lato. Szmer głosów rozbrzmiewał w uszach Jacka jak odległa kanonada i przywoływał wspomnienia wojennego koszmaru.

Jakiś przechodzący mężczyzna delikatnie otarł się o Jacka, który omal się nie zatoczył. Na szczęście dżentelmen niczego nie zauważył. Jack rozprostował zacisniętą pięść, lecz wspomnienia wojny przybierały na sile; wystrzały armatnie były coraz donośniejsze, w sali robiło się coraz ciemniej. Zdarzyło mu się to już wcześniej. Te objawy nieodmiennie zwiastowały nadejście wizji. Wkrótce znów znajdzie się na polu bitwy, pośród znajomych odgłosów, widoków i lęków.

Mocno zacisnął powieki, mając nadzieję, że nikt nie domysla się, że Jack stacza z sobą wewnętrzną walkę. Otworzywszy oczy, popatrzył na portret swojej siostry. Obraz wisiał wysoko i niełatwo było dojrzeć szczegóły. Jack nie mógł się jednak spodziewać, że dzieło nieznanego malarza zostanie uhonorowane lepszym miejscem. Myśl o obrazie sprawiła, że powrócił do rzeczywistości. Był w Londynie, w Somerset House, wśród pięknych dzieł sztuki. Z wdzięcznością uśmiechnął się w stronę portretu siostry.

– Który obraz tak bardzo się panu podoba? – usłyszał cichy, melodyjny głos.

Obok Jacka stała urodziwa młoda kobieta. Można było odnieść wrażenie, że właśnie zstąpiła z jednego z płócien. Przez chwilę zastanawiał się, czy aby wyobraźnia znów nie płata mu figli. Nieznajoma miała skórę jedwabistą jak płatek róży, wspaniale kontrastującą z rudawobrazowymi włosami. Pełne, ciemnoróżowe wargi lśniły tak, jakby przed chwilą zwilżyła je

językiem. Duże, błyszczące oczy barwy zielonych łąk, otoczone ciemnobrązowymi rzęsami, patrzyły na niego z zaciekawieniem. A może ze współczuciem?

– Proszę powiedzieć, że portret tej młodej damy. – Wskazała konterfekt jego siostry.

Odrywając na chwilę wzrok od pięknej nieznajomej, zerknął na obraz.

– Podoba się pani? – spytał speszony

– Owszem. – Zmrużyła oczy, jakby się nad czymś zastanawiała. – Jest doskonały pod względem artystycznym, ale nie tylko o to chodzi... – Urwała, by zwilżyć wargi, co podziało niezwykle pobudzająco na Jacka. – Widać, że twórca włożył w pracę wiele uczucia.

– Uczucia? – Jack popatrzył na malowidło i szybko przeniósł wzrok na kobietę. Nie potrafił oderwać od niej oczu.

– Tak – potwierdziła. Działała jak balsam na Jacka, który zaledwie przed chwilą stoczył walkę z demonami przeszłości. – Wyraz twarzy tej młodej damy, jej poza oddziałują na emocje. Ta młoda osoba najwyraźniej zastanawia się, co przyniesie jej przyszłość; widać też, że malarz bardzo ją lubi, co czyni ją tym piękniejszą. To naprawdę niezwykle obraz.

Jack zaczerwienił się; jego próżność została mile polechtana.

Namalował podobiznę Nancy z myślą o zamówieniach od przyszłych klientów, jednak praca nad obrazem stworzyła mu szansę lepszego poznania siostry, która była jeszcze dzieckiem, gdy całował ją na pożegnanie przed wyjazdem na Półwysep Iberyjski. Teraz Nancy miała osiemnaście lat i była tak piękna, urocza i świeża, jak przedstawiał to portret. Młoda dama, której płótno tak bardzo przypadło do gustu, była co najwyżej o kilka lat starsza od Nancy.

Roześmiała się.

– Mężczyźni nie rozumieją emocji. – Popatrzyła uważnie na obraz. – Artyści są wyjątkiem. Ten artysta doskonale potrafi ukazać uczucia.